

Rüdiger von Fritsch

# QUO VADIS ROSJO?

Spojrzenie ambasadora Niemiec

Przekład Anna Wziętek



SEDNO  
Wydawnictwo  
Akademickie

**QUO VADIS, ROSJO?**



**Rüdiger von Fritsch**

---

# **QUO VADIS ROSJO?**

---

Spojrzenie ambasadora Niemiec

Przekład  
**Anna Wziętek**

Tytuł oryginału: *Russlands Weg. Als Botschafter in Moskau.*  
*Mit einem Vorwort von Viktor Jerofejew*  
Wydanie polskie na podstawie: Aufbau Verlag, Berlin 2020

Wydawca  
**Andrzej Chrzanowski**

Redakcja i korekty  
**Andrzej Chrzanowski**

Redakcja techniczna  
**Danuta Przymanowska-Boniuk**

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne  
**Janusz Fajto**

Zdjęcie na okładce: pexels.com

Partnerem wydania jest Fundacja Konrada Adenauera



Wydano z finansowym wsparciem  
Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej / Herausgegeben  
mit finanzieller Unterstützung der Stiftung  
für deutsch-polnische Zusammenarbeit



Copyright © Aufbau Verlag GmbH & Co. KG, Berlin 2020  
Copyright © for the Polish translation by Anna Wziętek  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.  
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach  
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-158-2  
ISBN 978-83-7963-159-9 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.  
00-696 Warszawa  
ul. J. Pankiewicza 3  
www.wydawnictwosedno.pl  
info@wydawnictwosedno.pl

Dla Huberty,  
z wielką wdzięcznością za 35 wspólnych lat  
w służbie zagranicznej



Bardzo dobrze wiem, że polityki nie robi się sercem; mimo tego jednak myślę, że nie robi się złej polityki, angażując w nią trochę serca. To wspólnota naszych losów i wspólne interesy przywiodły mnie do tego przekonania, z którym pełniłem tutaj swoją służbę.

Ulrich von Brockdorff-Rantzau,  
ambasador Niemiec w Rosji Radzieckiej  
i ZSRR w latach 1922–1928



# Wstęp

## Do czego jest zdolne imperium Putina

Przedkładana czytelnikom książka, chyba jedna z najciekawszych publikacji o współczesnej Rosji, ujmuje swoją elegancką, powściągliwą dykcją, w której odzwierciedlają się mądrość i pisarski kunszt autora.

Dzisiejsi ambasadorzy rzadko piszą książki, a już na pewno nie piszą książek mądrych. Albo nie mają nic do powiedzenia, albo brakuje im literackiego talentu. Rüdiger von Fritsch jest tu wyjątkiem. Szarmancki i zawsze bardzo rzeczowo argumentujący ambasador Niemiec, dopiero niedawno opuścił Moskwę, kończąc tu swoją wieloletnią misję. Jego książka nie jest ani egzaltowanym wyznaniem miłości do mojego kraju, jak to się często dzieje w przypadku autorów piszących o Rosji, ani wyrazem rozczarowania doświadczeniami zebranymi przez niego w Moskwie podczas pełnienia służby.

O swoich poglądach, do których doszedł po gruntownych przemyśleniach, pisze bardzo konkretnie. Posiadanej wiedzy używał do wypełniania obowiązków i podczas dyskusji z licznymi rozmówcami. Jako ambasador Niemiec reprezentował w Moskwie nie tylko polityczne interesy swojego kraju, lecz także wartości europejskie, które wykształcały się przez wieki i których oryginalność stawała się szczególnie wyrazista przede wszystkim w porównaniu z innymi, w tym

przypadku rosyjskimi wartościami. Autor opisuje swoje doświadczenia z trzech perspektyw: ambasadora, pisarza, Europejczyka. Nie, chwileczkę, jest tu jeszcze czwarta perspektywa – człowieka, który poznał, nauczył się cenić i kochać Rosję świata kultury i niezależnych opinii. Taka Rosja na szczęście istnieje.

Na moskiewską placówkę Rüdiger von Fritsch przybył w 2014 r. – w bardzo tragicznym okresie dla stosunków rosyjsko-europejskich. Ujawniły się wtedy wyraźnie ukryte wcześniej zamiary Kremla, marzącego o powrocie do statusu supermocarstwa w polityce światowej. W politycznej mgłę zaczęły się rysować niewyraźnie kontury byłego ZSRR – rzekomo ofiary zachodniego spisku – jako przyszłościowej wizji. Moskiewski teatr polityczny sprezentował widzom na całym świecie niespodziankę: zręcznie przeprowadzoną operację specjalną przyłączenia Krymu do Rosji. A na koniec splamił się krwią całkiem rzeczywistej wojny w Europie, na południowym wschodzie Ukrainy.

Książka von Fritscha daje wyczerpującą i gruntowną analizę tych wydarzeń, ich przyczyn i celów oraz nie stroni od odpowiedzi na pytanie o dalszy rozwój sytuacji, bo końca tragedii jeszcze nie widać.

Istotną cechą książki jest to, że zaczyna się jako historia polityczna, a przechodzi płynnie w filozoficzną refleksję nad różnicami między rosyjskimi i zachodnimi postawami życiowymi. Autor bynajmniej nie idealizuje przy tym Zachodu, chociaż zdecydowanie obstawia przy jego wartościach. Nie demonizuje też Rosji, która w tym czasie przeistacza się coraz bardziej w feudalne lenno swojego nieusuwalnego prezydenta.

Rosyjską mentalność postrzega autor jako w gruncie rzeczy stan dysonansu poznawczego, nieustannego zderzania przeciwstawnych tendencji, mieszanek niemożliwych do pogodzenia ideologii, historycznych zapętleń i na poczesnym miejscu jeszcze osobistych ambicji pierwszej osoby w państwie. Rüdiger von Fritsch kreśli zabawną paralełę między

identycznymi celami reakcyjnego cara Aleksandra III i obecnego prezydenta Rosji, pochodzącego ze skromnej leningradzkiej rodziny radzieckiej, który odsłaniając niedawno pomnik cara na Krymie, wynosił go pod niebiosa.

W rosyjskiej polityce zagranicznej, czytamy, do głosu dochodzą ideologie marzące o tym, by osłabić Europę, a jednocześnie wykorzystać jej potencjał ekonomiczny. Poirytowani stałością przekonań von Fritscha, rosyjscy koledzy z moskiewskiego MSZ raz „objeżdżają” go obcesowo: „Panie ambasadorze, nie jest pan w Warszawie!” (czyniąc aluzję do jego wcześniejszej misji w Polsce), innym razem próbują go sobie zjednać podczas kolejnego krótkiego „rozejmu”, zarządzanego przez Kreml. Nawet sam Putin wyraża mu swoją sympatię podczas ostatniej rozmowy w cztery oczy, przyjmując go przed opuszczeniem Moskwy.

Czy będzie zadowolony z jego książki? Nie wiem. W każdym razie może być jednak pod wrażeniem daru błyskotliwej obserwacji i pamięci, z jakimi autor opisuje epatujące brakiem smaku sale audiencyjne na Kremlu i krótkie formalne spotkania całkiem w stylu „zimnej wojny”, podczas których nie podaje się ani herbaty czy kawy, ani nawet wody mineralnej. Cudowna scena rozgrywa się w obsadzonej palmami rezydencji prezydenta w Soczi: jeden z niemieckich gości rozsłucha ciężkie story w oknie i żartuje, że chciał tylko sprawdzić, czy na zewnątrz wciąż jest jeszcze morze. Putin kwituje żart łaskawym uśmiechem. Cieszy się pochwałą swojej znajomości języka niemieckiego, bogatego słownictwa i umiejętności werbalnej improwizacji. Jeśli zważyć, że książka trafnie opisuje militarny i polityczny konflikt Zachodu z Rosją Putina, to trzeba skonstatować, że szczerść von Fritscha wyjdzie bez wątpienia na dobre przyszłym historykom naszych czasów.

Oczywiście, konfrontacja dwóch cywilizacji, zachodniej i rosyjskiej, znów stawia pytanie o przynależność Rosji do Europy. I dobrze jest, że autor nie ma na to z góry gotowej, przedwczesnej odpowiedzi: „tak” lub „nie”. Rosja kroczy, co

zapowiada tytuł książki, swoją własną drogą, z czym zgodziłoby się wielu naszych wielkich filozofów z początków XX wieku. Dzisiejsi wysoko postawieni rozmówcy von Fritscha karmili go opowieściami o dumnej Rosji, której nie można dyktować reguł zachowania na międzynarodowej scenie politycznej. Z drugiej strony ten dumny kraj sam uzurpuje sobie prawo dyktowania warunków wojny i pokoju innym. Kult siły, obecny w Rosji tak w przestrzeni państwowej, jak i prywatnej, szokuje Europejczyków swoją ponurą archaicznością. W gruncie rzeczy źródła problemów mojego kraju tkwią w naszej narodowej podświadomości. I problem polega nie tylko na tym, że łatwo nas urazić i że roimy sobie na swój temat bóg wie jakie fantazje, lecz także na tym, że uważamy się – *horribile dictu!* – za lepszych od wszystkich innych, lepszych od Amerykanów, Europejczyków, Turków i Chińczyków, bo przecież wyznajemy najprawdziwszą ze wszystkich religii, jesteśmy prawosławni! Jesteśmy najbardziej uduchowieni, a przy tym najweselsi, najbardziej odłotowi, po prostu zupełnie różni od mieszkańców tej nudnej Europy! I nasi włodarze nie mogą pojąć, dlaczego byłe republiki radzieckie szukały jak najprędzej swojego szczęścia w Unii Europejskiej, a nie chciały zostać przy nas, którzy jesteśmy przecież meganajlepsi na świecie! Nasi dyplomaci i politycy przedstawiają to jednak tak, że np. Ukraińcy i Białorusini to nasi mniejsi bracia i uciekają przed nami tylko dlatego, bo ich Zachód zwodzi swoimi mirażami. I to jest pułapka politycznego myślenia w dzisiejszej Rosji, które prezydent monotonna reprodukuje w telewizji państwowej, powtarzając wciąż to samo: Zachód chce nas rozerwać na sztuki!

Ale istnieją jeszcze głębsze pokłady tego myślenia, o czym pisze autor. Otwarte deklarowanie, że jest się najlepszym, nie funkcjonuje. Za granicą mogą tego nie zrozumieć. Ale można rozbudować ideę, że trzeba za granicą bronić „rodaków”, a to oznacza, że troska o rosyjski świat nie zna granic. W gruncie rzeczy jest to odgrzewana wersja rewolucji

światowej, tyle tylko, że tym razem nie zasadza się ona na walce klas i komunistycznych ideałach, lecz na narodowo-religijnej wyjątkowości, przy czym otwarta dyskusja o tym jest w Rosji raczej przywilejem ortodoksyjnych duchownych. Wszędzie straszą polityczne fantasmagorie. W latach 2014–2015 rozwijały się one wokół pomysłu utworzenia na terytorium Ukrainy własnego prorosyjskiego państwa, „Nowej Rosji”, od Charkowa po Mołdawię. Najwyraźniej jednak tajne służby Putina przeszacowały, jak pisze autor, pragnienie mieszkańców tych ukraińskich ziem do życia w takim państwie – i utopia upadła. Teraz utopijne idee orbitują wokół idei nowej konferencji jałtańskiej, podczas której takie mocarstwa jak Ameryka, Chiny, Rosja, Francja i Wielka Brytania usiądą do stołu i określą swoje strefy wpływów. Świat prezentuje się w tej optyce jako wielki tort, który trzeba tylko pokroić na odpowiednie kawałki. Niemiec na tę ucztę nie zaproszono, a wobec Polski władca na Kremlu żywi szczególnie nienawistne uczucia, bo ten kraj bardziej niż inne sprzeciwia się samej choćby tylko teoretycznej myśli o nowej Jałcie.

Rosja jest krajem o wybuchowej świadomości. W odległej przeszłości musiała dźwigać jarzmo tatarsko-mongolskiego panowania i była faktycznie kolonią orientalnego chanatu. Następstwa tego kolonialnego jarzma odczuwali Rosjanie właściwie aż do czasów Piotra Wielkiego i swoje polityczne struktury zbudowali na wzór orientalnej despotcji. Pominąwszy chwilę oddechu, jaką była europeizacja kraju od XVIII do końca XIX wieku, Rosjanie znów dostali się w szpony okrutnej dyktatury, tym razem bolszewików. W rezultacie problemem Rosji nie jest tylko tradycja autorytaryzmu, lecz także polityczna ignorancja szerokich rzesz ludności, którymi można łatwo manipulować.

Objąwszy władzę, Putin stanął przed problemem. Co robić? Modernizować kraj za przykładem Piotra Wielkiego i prowadzić go do Europy, czy też mobilizować przed wrogiem zewnętrznym i przekształcić po stalinowsku

w twierdzą nie do zdobycia? Z modernizacją się nie udało. „Nie jesteśmy Chińczykami”, wyznał mi kiedyś kremłowski funkcjonariusz, wspominany na kartach tej książki. Ale kogo wybrać sobie w takim razie na wroga? Kreml ma swoją hierarchię trzech wyimaginowanych wrogów Rosji. Pierwsze miejsce zajmuje samo Zło wcielone, NATO, które jest gorsze od diabła. Zaraz po nim znajdują się USA. A trzecie miejsce przypada w tej hierarchii Unii Europejskiej – ze swoimi małżeństwami jednopłciowymi, o czym propagandyści trąbią niezmordowanie przy każdej okazji. Dlatego aneksja Krymu była z perspektywy Kremla nie tylko przywróceniem sprawiedliwości, lecz także koniecznym posunięciem do zachowania samej integralności kraju, bo przecież inaczej w Sewastopolu zacumowałyby okręty NATO. A tak odnieśliśmy zwycięstwo: Krym-jest-nasz! Na wieki! Cały kraj tańczy ze szczęścia na maskach swoich samochodów! W kremłowskiej propagandzie Rosja kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa, inne ideologiczne zasoby sprawdzają się kiepsko. I to jest powód, dla którego – jak to autor pokazuje w książce – w polityce rosyjskiej wyobrażenie sprawiedliwości (czynnik subiektywny) dominuje nad pojęciem prawa międzynarodowego. A żeby zatriumfowała sprawiedliwość i żeby przeciwnika okręcić sobie wokół palca, Putin gotów jest posłużyć się każdym wykrętem. Równocześnie trzeba naturalnie pobrzękiwać szabelką (bo nie ma się nic innego, czym by można pobrzękiwać) i balansować na linie, jak w cyrku, ryzykując upadek w przepaść globalnej wojny.

Autor ostrożnie krytykuje także Zachód, który właściwie zaprzepaścił szansę owocnego dialogu z wczesnym Putinem na płaszczyźnie stosunków ekonomicznych i politycznych. Nie miał on wtedy gotowej koncepcji drogi dla Rosji, szukał jej jeszcze. Poza tym von Fritsch z naciskiem wskazuje na fakt, że to nie Zachód przyciągnął do siebie Ukrainę, nastawiając ją przeciwko Rosji, lecz że to sama Ukraina wybrała Zachód. Gadaninie o tym, że to „faszyści”

przechwycili władzę na Ukrainie, przeczą wolne wybory w tym kraju, w których prawicowi ekstremiści uzyskali tylko trzy procent głosów.

Oczywiście trudno by było procentowo określić z niezbitą pewnością, ilu mieszkańców Krymu chciałoby dzisiaj powrotu do Ukrainy. Wielu ich raczej nie będzie. Natomiast ukraińskie paszporty, z którymi można bez wiz jechać do Europy – a, to co innego! Nawet w Donbasie, po sześciu latach haniebnej wojny, ogół ludności nie będzie marzył o powrocie do Ukrainy. I w tym tkwi gorzki problem kwestii terytorialnej, bo przecież w świetle prawa międzynarodowego wszystkie te tereny należą do Ukrainy. Nawet Armenia i Białoruś, wierni sojusznicy Moskwy, nie uznali prawnie aneksji Krymu przez Rosję.

Kiedy czyta się książkę von Fritscha, to widać, jak niezwykłą cierpliwością musiał się wykazywać, aby reprezentować europejskie stanowisko w sprawie militarnego konfliktu na Ukrainie. Ile odwagi trzeba było, aby stawiać czoła kłamstwom rozpowszechnianym w związku z zestrzeleniem malezyjskiego samolotu pasażerskiego w 2015 roku. Ale ambasador wskazuje i na to, że w samych Niemczech nie brak ludzi – biznesmenów, pisarzy, artystów, dziennikarzy – żądających położenia kresu wzajemnemu „zwalczaniu się” i zniesienia sankcji, jakimi obłożono Rosję w proteście przeciwko postępowaniu Kremla. Stanowczo i z empatią przedstawia autor rosyjskie kontrsankcje. W zamierzeniu ich autorów miały podminować zachodnią gospodarkę, a swoje apogeum znalazły w zmasakrowaniu „nielegalnych” polskich jabłek i francuskiego sera przez buldożery na granicy białorusko-rosyjskiej. Zamiast przekazać je Cerkwi do rozdania między potrzebujących, z dumą prezentowano akcję niszczenia tych artykułów żywnościowych w państwowej telewizji.

Materiał do książki pochodzi z najrozmaitszych źródeł. Ambasador podkreśla znaczenie informacji, które otrzymywał od pracowników swojej ambasady. Książkę zapewne wzbogaciły o konkretne treści także liczne konferencje,

spotkania i podróże po Rosji. No i przyjęcia w ambasadzie, kolacje, tudzież inne imprezy, także w rezydencji ambasadora, w których uczestniczyła także Huberta, czarująca małżonka Rüdigera von Fritscha. Sam bywałem nierzadko ich gościem. Przypominam sobie przepiękny wieczór, poświęcony pamięci rosyjskiego pisarza i pieśniarza Bułata Okudźawy, zorganizowany już w ostatnich dniach pobytu ambasadora w Moskwie. I rzeczywiście, wieczór ten był jednym z dowodów na istnienie także innej Rosji, kraju o wielkiej i odważnej kulturze, która ma znaczenie opozycyjne, ale i egzystencjalne. Poświęcony Okudźawie koncert i towarzyszący mu pożegnalny bankiet zgromadził praktycznie *tout Moscou* – funkcjonariuszy Kremla, niezależnych dziennikarzy, opozycjonistów... Trzeba być naprawdę bardzo gościnnym gospodarzem i wybitnym dyplomatą, aby móc zebrać u siebie tak różnorodne towarzystwo.

Z tego samego ducha, co owocne przyjęcia, powstała także ta szczerą, bogata w rozmaite wrażenia książka o trudnych czasach w dzisiejszej Rosji. Jestem przekonany, że książka Rüdigera von Fritscha pozostanie wartościowym, trwałym świadectwem wrażliwej dyplomacji.

*Wiktor Jerofiejew*

Drogiej pamięci Włodzimierza Borodzieja,  
który inicjował polskie wydanie tej książki  
i opuścił nas przedwcześnie. Był znakomitym  
historykiem, przyjacielem autora i wydawcy



## Prolog

„Panie ambasadorze, co pan będzie robił na emeryturze? Napisze pan książkę?”.

Prowadziłem właśnie intensywną rozmowę z Władimirem Putinem, która teraz miała się ku końcowi: otwartą, kontrowersyjną, ale w pewnym sensie również zażyłą. To, że w ogóle doszło do tego spotkania w czerwcu 2019 roku, pod koniec mojej pięcioletniej kadencji ambasadora w Moskwie, było bardziej niż niezwykle. Głowy państw nie przyjmują ambasadorów na rozmowy czy wizyty pożegnalne, a już na pewno nie ci, którzy sprawują władzę wykonawczą, jak prezydenci Francji, USA – i właśnie Rosji. Oficjalnymi partnerami do rozmów dla ambasadorów są ministrowie spraw zagranicznych i ich zastępcy, ministrowie resortowi rządu, doradcy prezydenta. W dużym kraju ambasadora żegna się kolacją, organizowaną przez sekretarza stanu lub wiceministra spraw zagranicznych. W Niemczech nie jest inaczej. Również w moim przypadku odpowiedzialny za Niemcy rosyjski wiceminister spraw zagranicznych wydał taką kolację, w której uczestniczyli jego i moi najbliżsi współpracownicy.

Na początku spotkania powiedziałem więc Władimirowi Putinowi to, co oczywiste: że traktuję tę rozmowę jako gest wobec mojego kraju i ciągłych starań mojego rządu o szukanie rozwiązań nawet dla najtrudniejszych kwestii, niezależnie od tego, jak bardzo by one nas dzieliły. I właśnie tych

spornych kwestii dotyczyła nasza rozmowa: Ukrainy, Syrii, Rosji, Niemiec i Europy, praw człowieka i wolności prasy. Rozmawialiśmy we dwóch, bez tłumaczy czy doradców, gdyż Władimir Putin mówi chętnie i znakomicie po niemiecku, w najlepszym razie zastanawia się przez chwilę, czy w danym wypadku użyć słowa „utrzymać” czy „zatrzymać”.

„Tak, panie prezydencie, chętnie spróbowałbym napisać książkę. Martwi mnie tylko, że tak bardzo oddaliliśmy się od siebie i że nasze narracje różnią się coraz bardziej. Każdy kieruje się swoją prawdą, nie słucha drugiego lub nie próbuje go zrozumieć. Nie musimy mieć takiego samego zdania, powinniśmy jednak próbować wzajemnie się rozumieć”. Władimir Putin z ożywieniem pokiwał głową. „O tym powinna traktować ta książka”, dodałem. „Co dzieli i łączy Niemców i Rosjan i jak nam się wciąż udawało odbudowywać dobre stosunki, póki w 2014 roku nie doszło do ich zerwania. Powinna wyjaśniać, dlaczego do tego doszło, a przede wszystkim: jak sprawy mogą potoczyć się dalej”. – „Tak, to dobry pomysł. Proszę to zrobić! Musimy spróbować lepiej się rozumieć”. – Uścisk dłoni, życzenia wszystkiego dobrego, wspólne zdjęcie.

Wzajemne zrozumienie – o to chodziło już na początku 2014 roku w Berlinie, kiedy przygotowywałem się do objęcia stanowiska ambasadora w Moskwie. Od kilku tygodni zaostrzał się kryzys ukraiński. Napięcie rosło, a poglądy stawały się coraz bardziej rozbieżne. Nic więc dziwnego, że wiodący polityk partii rządzącej – w Berlinie – tuż przed wyjazdem do Rosji zadał mi następujące pytanie: „Czy jest pan też takim Russland-Versteherem («rozumiejącym Rosję»)?”. Cóż, rząd federalny źle by zrobił, wysyłając do Moskwy kogoś, kto przynajmniej nie próbowałby zrozumieć Rosji. Rozumienie nie oznacza od razu akceptacji, ale rozumienie drugiej strony i pojmowanie jej motywów jest warunkiem skutecznego działania.

W ciągu ponad pięciu lat, kiedy dane mi było reprezentować Niemcy w Rosji, coraz bardziej niepokoiły mnie dwie

tendencje, ponieważ przybierały na sile: po pierwsze skłonność do długofalowego przypisywania rosyjskiej polityce wyłącznie złych i agresywnych zamiarów i podejrzewanie Putina o wszelkie zło. Każda próba wyjaśnienia argumentującym w ten sposób rozmówcom kulisów i warunków rosyjskiego postępowania i sklasyfikowania go, natychmiast budziła podejrzenie o naiwność lub usiłowanie rozmywania odpowiedzialności czy przynajmniej łatwowiernego koloryzowania faktów.

Irytowała mnie również tendencja do wszystko wybaczącego rozumienia. Niemalø Niemców nawoływało stale do szczególnego respektu wobec Rosji i relatywizowało każde poważne naruszenie zasad, wytykając rzekome złe zachowanie drugiej stronie. Jakże często spotykałem się z argumentacyjną triadą: „Tak, ale – właściwie – jakby”. „Tak, ale właściwie Krym był jakby zawsze rosyjski, prawda?”. Każdy okopuje się w swojej prawdzie, na dialog nie ma już miejsca. I tu wkracza książka – starając się oferować wyjaśnienia obydwu stronom.

Mimo wszelkich starań o zachowanie tego, co Anglicy nazywają *fairness*, jej autor nie jest jednak zdystansowanym, ważącym każde słowo obserwatorem, lecz stroną: tam, gdzie naruszane są fundamentalne reguły pokojowego współistnienia, niczego nie można usprawiedliwiać czy tuszować.

Wzgląd na interesy naszego kraju nakazuje, aby pewne rzeczy pozostały niewypowiedziane, aby rozmówcy byli cytowani, ale nie zawsze wymieniani z nazwiska. Przeżycia są zbyt świeże, wciąż odgrywają zbyt dużą rolę we współczesnej polityce. Rząd federalny potrzebuje swobody działania w staraniach o naprowadzenie na właściwe tory relacji z Rosją. Cytuję też pewnych rosyjskich rozmówców, których otwartość bardzo szanowałem, nie podając ich nazwisk.

Nie chodzi o to, by wystawiać oceny. Patrząc wstecz, wszyscy jak wiadomo zawsze mieliśmy rację i wszystko przewidywaliśmy. Prawda jest jednak taka, że z przeciwstawnych punktów widzenia w coraz większym stopniu rozdziły się

światopoglądy. Na tle zmieniającej się zasadniczo sytuacji międzynarodowej zbliżenie wydaje się jeszcze trudniejsze. Powrót systemu wielkich potęg, które uzgadniają wszystko między sobą, potężny awans Chin i zmiana kursu amerykańskiej polityki zagranicznej, rezygnacja ze sprawdzonych zasad i reguł – z ważnymi osiągnięciami w dziedzinie kontroli zbrojeń i rozbrojenia łącznie – to wszystko stawia świat przed wyzwaniem całkiem nowego rodzaju.

Nie wspominając już o głębokiej cezurze, jaką dla globalnego biegu wydarzeń oznacza pandemia koronawirusa: jakie będzie miała skutki dla międzynarodowego porządku politycznego? W Rosji ujawniła zaniedbany system zdrowotny i słabości kraju wprawdzie bogatego, ale stawiającego wyłącznie na eksport surowców naturalnych. Wrażenie stagnacji jeszcze się wzmocniło: jednocześnie nasiliły się protesty skierowane nie tylko przeciwko konkretnym niedomoganiom, lecz sytuacji politycznej w ogóle. I kiedy w tej sytuacji doszło do zamachu na najpopularniejszego rosyjskiego opozycjonistę Aleksieja Nawalnego z użyciem chemicznego środka paralityczno-drgawkowego, wstrząsnęło to nie tylko Rosją, lecz doprowadziło do ponownego ochłodzenia stosunków z Zachodem, zwłaszcza z Niemcami, dokąd przewieziono go na leczenie. Nadchodzącą burzą wydawały się być protesty na sąsiedniej Białorusi, gdzie latem 2020 roku dziesiątki tysięcy ludzi wyszło na ulice po niewątpliwie sfałszowanych wyborach prezydenckich

Jakie mogą być dalsze losy stosunków niemiecko-rosyjskich, tej szczególnej relacji, której funkcjonowanie jest nieodzowne dla udanego współistnienia na tym wielkim euroazjatyckim obszarze? I jak można trwale utrzymać pokój w Europie, do której należy również Rosja? W sporze „frakcji rosyjskich” w Niemczech przynajmniej w jednej kwestii panuje zgoda: nie ma ostatecznie alternatywy do dobrych stosunków niemiecko-rosyjskich. W latach pełnienia funkcji ambasadora w Moskwie była to najważniejsza zasada mojego postępowania.

Nie, z Rosją nie jest łatwo. Wielki, dumny kraj zamyka się przed obcymi, ba, prawie się broni. Nie trzusi się, aby zostać zrozumianym. Jest, jaki jest – po prostu jest, jaki był zawsze. To inni mają się do niego dostosować. I ceni sobie, gdy się go postrzega jako tajemnicę. Im mniejszy kraj, tym jego mieszkańcy intensywniej i bardziej dyplomatycznie starają się przedstawić go w dobrym świetle, atrakcyjnie i interesująco. Można wtedy usłyszeć: „Wiedział pan, że nasz rodak wynalazł elektryczną maszynę do szycia z automatyczną zmianą nici?” albo: „U nas to było już w 1537 roku...”. I często trafia się też kompozytor czy malarz, ciągle wynoszony na Olimp narodowej chwały, bez oglądania się na jego faktyczne znaczenie. Ale nie w Rosji. Rosja jest duża i ważna, nie trzeba tego podkreślać. Ma tak długą historię, tyle blasku i grozy, wydała na świat tylu wspaniałych malarzy, pisarzy i kompozytorów, mieni się taką różnorodnością, ma tyle przestrzeni, wody, lasy, ropę naftową i gaz, złoto i diamenty, że niczego nie musi wyjaśniać. Rosjanie oczekują, że zna się i respektuje ich kraj i jego wielkość. Naturalnie chcieliby być kochani, ale to ostatnia rzecz, do której by się przyznali. Są dumni – i nieprzychylni.

Szczególnie ciężko uznać ten kraj za sympatyczny, kiedy trafia się do niego w czasie najcięższej burzy politycznej. Całymi miesiącami sypał grad i deszcz, waliły pioruny, grzmiało – 18 marca 2014 roku nastąpiła aneksja Krymu. 23 marca wylądowałem w Moskwie. Nie miałem okazji, aby bliżej poznać kraj, nawiązać osobiste relacje. To była czysta konfrontacja, od samego początku. Jednak coś takiego należy do dyplomatycznego fachu – po to jesteśmy: aby rozumieć i pośredniczyć, reprezentować stanowisko z gotowością do dialogu, ale i być zdecydowanym oraz wytrzymywać konfrontacje. Reprezentowanie stanowiska swojego rządu przyszło mi łatwo: z najgłębszego wewnętrznego przekonania uważałem je za słuszne, byłem oburzony tym, co w czasie pokoju wyczynia rosyjska polityka.

A jednak nie da się na dłuższą metę wykonywać swoich zadań jako dyplomata, jeśli nie żywi się sympatii do kraju,

w którym się pracuje. Miałem szczęście, że w młodym wieku otrzymałem w darze na dalszą drogę życia wielką sympatię do Rosji, jej mieszkańców i kultury. Dzięki szkole i studiom doszedł do tego szacunek dla ciężkiego losu ludności rosyjskiej w XX wieku, w którym Niemcy miały tak duży udział.

Moja matka była Niemką bałtycką, jak nazywano osadników, którzy dawno temu wyemigrowali na tereny dzisiejszej Estonii i Łotwy. Na skutek zmiennych losów historii ten obszar na północnowschodnim krańcu Europy Środkowej dostał się w XVIII wieku pod panowanie rosyjskie i pozostał pod nim aż do czasu, kiedy w następstwie pierwszej wojny światowej kraje bałtyckie wybiły się po raz pierwszy na niepodległość. Opowieści dziadków były nacechowane wspomnieniami o bezpowrotnie minionym Cesarstwie Rosyjskim, któremu służyły ich rodziny. Pradziadek był przed pierwszą wojną światową posłem do obu izb rosyjskiego parlamentu, Dumy i Rady Państwa. Jego córka, moja babcia, ukończyła w 1916 roku, podczas wojny, szkołę w Moskwie. Z jej opowieści wyłaniał się cudowny świat: dwór carski w Petersburgu, ówczesna Moskwa z bogatą kulturą, rewolucje z 1905 i 1917 roku. I wreszcie 1944 rok, ucieczka przed zbliżającą się Armią Czerwoną z bałtyckiej ojczyzny do Niemiec. Przy wszystkich okropieństwach, jakich to pokolenie doświadczyło ze strony ZSRR, dziadkowie przekazali nam głęboką sympatię do Rosji i jej mieszkańców, kultury oraz języka. Babcia recytowała wiersze Lermontowa i uwielbiała muzykę Rachmaninowa, dzięki dziadkowi pojąłem piękno rosyjskich pieśni ludowych. Na Wielkanoc matka przygotowywała tradycyjną słodką paschę; kiedy mieli przyjść liczni przyjaciele, piekła pierogi i podgrzewała samowar. Bliski związek z Rosją przez całe wieki odciskał piętno na Niemcach bałtyckich. Okropieństwa rewolucji, rządów komunistycznych i Armii Czerwonej nie były w ich oczach rosyjskie, tylko radzieckie.

Z tego napięcia zrodziło się też moje rosnące zainteresowanie, ba, fascynacja Rosją, jej kulturą, a jednocześnie

Związkiem Radzieckim, doktryną socjalistyczną oraz kwestią, dlaczego totalitarne panowanie leninowskiego aparatu władzy nad milionami ludzi zdawało się być trwałe. Kiedy w szkole zacząłem uczyć się rosyjskiego, do ćwiczeń z czytania służył mi tomik wierszy Anny Achmatowej, który podała mi stara nauczycielka, „panna Gendel”. Pochodziła, jak mi opowiadała, z bocznej linii rodu wielkiego niemieckiego kompozytora, którego potomkowie wyemigrowali do Rosji, a po rewolucji wrócili do Niemiec. Ponieważ w rosyjskim nie występuje ani „h”, ani „ä”, z nazwiska „Händel” powstało „Gendel”. Uwielbiałem melancholijne pieśni Bułata Okudźawy i czytałem, po niemiecku, jego satyryczno-wywrotowe książki, krytykujące stosunki polityczne w starej Rosji, a w rzeczywistości traktujące o Związku Radzieckim. W przejmującym opowiadaniu Aleksandra Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza* zetknąłem się po raz pierwszy z okropieństwami radzieckiego totalitaryzmu. Kiedy w 1968 roku armie państw Układu Warszawskiego pod wodzą ZSRR wkroczyły do Czechosłowacji, aby zdławić „zreformowany komunizm”, uczestniczyłem w marszu milczenia, zorganizowanym w miasteczku Wyk na wyspie Föhr, gdzie spędzałem wakacje. To, co działo się w Czechosłowacji, było bezprawiem, odczuwał to nawet czternastolatek.

Naprawdę poznałem ten ogromny kraj dopiero wtedy, gdy tam zamieszkałem. Razem z żoną próbowaliśmy zanurzyć się w rosyjskiej rzeczywistości najgłębiej jak się da. Odwiedzaliśmy zakłady przemysłowe, uniwersytety, osiedla mieszkaniowe i targowiska. Przejechaliśmy Rosję od Morza Białego na północy po ujście Wołgi, od grobów wojennych pod Rzewem po Władywostok i Chabarowsk, miasto górujące nad Amurem na Dalekim Wschodzie, od Półwyspu Jamskiego całkiem na północy aż po usiane kwiatami zbocza Ałtaju. Codzienność wzbogacały nam spektakularne przedstawienia baletowe, operowe i koncerty; ulegliśmy fascynacji światłem obrazów zbyt mało znanych u nas artystów jak Archip Kuindży czy Wasilij Wierieszczagin, nauczyliśmy

się kochać cudowną poezję Mariny Cwietajewej i Siergieja Jesienina i czytaliśmy wspaniałą literaturę współczesną – Siergieja Lebiediewa, Władimira Sorokina, Jachiny Guziel i Alisy Ganijewy. Bezdennie przytłaczające opowiadania Warłama Szalamowa, który spędził osiemnaście lat życia w piekle stalinowskich łagrów, raz jeszcze uświadomiły mi terror radzieckich represji.

Przed wszystkim jednak spotykaliśmy cudownych ludzi, wszędzie i często zupełnie niespodziewanie. Odważnych intelektualistów i pisarzy z niewyczerpanymi zasobami historii – jak Wiktor Jerofiejew, który został naszym przyjacielem. Uliczna kwiaciarka, która okazała się być wykładowczynią uniwersytecką. Fryzjerka z długim stażem, która po dziesięciu minutach rozmowy oparła się biustem o moje ramię, aby pokazać mi w komórcie pomidory na swojej daczce. Kelnerko-kucharka z wagonu restauracyjnego, która mnie zbesztła, kiedy po czterdziestu pięciu minutach czekania na jedzenie spojrzałem w jej stronę. Jest sama, niby jak to sobie wyobrażam?! Następnie zabrała mnie do kuchni i pokazała swoje kielbaski domowej roboty. Kobiety w Rosji – to one dźwigają ten kraj. Przepuszczają mężczyzn na pierwszy plan, aby byli ważni, ale pracując na trzech etatach, zapewniają utrzymanie całej rodzinie. Życie wielu ludzi jest nieporównywalnie trudniejsze niż u nas, zwłaszcza w odległych wioskach tego nieskończenie wielkiego kraju.

Kiedy miałem może ze dwanaście lat, znałem nazwiska trzech Rosjan, którzy wywarli na mnie szczególne wrażenie: Jurij Gagarin – pierwszy człowiek w kosmosie, Walentina Tierieszkowa – pierwsza kobieta w kosmosie – i Lew Jaszyn. Ten ostatni był bramkarzem drużyny narodowej ZSRR, legendarny dzięki zdolności przewidywania, wybrany Najlepszym Bramkarzem Stulecia. O swoim zachwycie dla „łatającego Rosjanina” mówiłem podczas otwarcia wieczoru niemiecko-rosyjskiej historii piłki nożnej. Starsza kobieta w pierwszym rządzie patrzyła na mnie promiennym wzrokiem: wdowa po Jaszynie. Ambasador Niemiec mówił o jej

mężu! To był cudowny wieczór w kręgu rosyjskich legend futbolu.

Kiedy niemiecki astronauta Alexander Gerst i jego załoga wrócili na początku 2019 roku z kosmosu, zorganizowałem w ambasadzie imprezę, na której bawili się do białego rana rosyjscy, niemieccy i amerykańscy pionierzy lotów kosmicznych. Jednym z ostatnich wychodzących był Maksim Surajew, kosmonauta, Bohater Federacji Rosyjskiej i deputowany do Dumy. Było po prostu *duszerwno*, stwierdził, rzucając mi się na szyję na pożegnanie – życzliwie, ludzko, serdecznie. Mimo że czasem bywa rubasznie, to jednak, jeśli nie respektuje się tego uczucia, tej potrzeby, nie robi się jej miejsca w sercu, to ma się w Rosji ciężko. „Niemcy od razu przechodzą do negocjacji”, podsumował to kiedyś niemiecki biznesmen. Rosjanie natomiast najpierw pytają o samopoczucie, pochodzenie, zajęcia rodziny i czy nie wypiłoby się razem herbaty.

Wszystkie te przeżycia, spotkania tylko wzmocniły moją sympatię i respekt dla Rosji, jej kultury i mieszkańców oraz ułatwiły mi trzymanie się zasady: nie dać się zmylić aktualnym czasem i trwać w swojej sympatii do Rosji.

Czy w ciągu tych lat nauczyliśmy się z żoną lepiej rozumieć ten kraj i jego ludzi? To był długi obiad z jednym z „bardzo bogatych” w kraju – „bogatych i blisko władzy” – kimś z grupy tych, których kiedyś nazywano „oligarchami”. Przed naszym domem zaparkowały jego wielka niemiecka limuzyna i dwie terenówki z ochroną. W pewnym momencie również i ta rozmowa zaczęła kręcić się wokół nieuchronnego pytania: jakim krajem jest Rosja? „Wie pan, panie ambasadorze”, stwierdził w końcu mój rozmówca, „jestem Rosjaninem, tutaj się urodziłem, wyrosłem, i kocham swój kraj. Zawsze będę go bronił. Ale czasami chciałbym go też zrozumieć”.



CZĘŚĆ I  
ZERWANIE



# Rosja i my – spojrzenie w przeszłość

## „Zawleczeni na Zachód”

„Czyż nie powinniśmy byli wiedzieć, że Rosja nie pozwoli robić ze sobą wszystkiego, że zacznie się w końcu bronić? Czy Putin nie wyraził się dostatecznie jasno w słynnej przemowie podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium w 2007 roku, gdy ostrzegał przed pozostawianiem polityki światowej w gestii jednego mocarstwa, USA?”. – Często słyszałem ten argument w dyskusjach w Niemczech: „Przecież trzeba zrozumieć Rosjan!”, mówią potem ludzie, często bardziej z aprobatą niż ze zrozumieniem. „Przesuwaliśmy się coraz bliżej ich granic, coraz bardziej rozszerzaliśmy NATO! Dosłownie otoczyliśmy i ograniczyliśmy Rosję – na dłuższą metę nie mogli przecież tego tolerować!”.

Przyciśnięta do muru Rosja zaczyna się bronić. Stosując tę logikę, rosyjska polityka usprawiedliwiała w 2014 roku również aneksję Krymu (która w Rosji nazywana jest najchętniej „przywróceniem do macierzy” lub „powrotem” Krymu). I tu widać wyraźnie, dlaczego zasadniczo się nie rozumiemy: postrzegamy świat w różny sposób. Zwłaszcza od końca zimnej wojny oceniamy historię inaczej. Dla nas na Zachodzie wydarzyło się w tym czasie coś absolutnie zdumiewającego: historia była nam pomyślna. Wszyscy, którzy mają wystarczająco dużo lat, aby pamiętać, jak żyło się w latach zimnej wojny, jeszcze dziś odczuwają beznadzieję

okresu przed 1989 rokiem. Uścisk, w jakim radzieckie władze trzymały swój kraj i kraje w zasięgu swoich wpływów, był żelazny. To, że socjalistyczne panowanie mogłoby się kiedyś skończyć, wydawało się niewyobrażalne.

Europa Wschodnia raz po raz podejmowała próby sprzeciwienia się dyktatowi Moskwy: powstanie ludowe w NRD z 1953 roku, Poznański Czerwiec i powstanie węgierskie z 1956 roku, Praska Wiosna, gwałtownie zdławiona przez wojska Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 roku. Narodowe próby pozbycia się radzieckiego zwierzchnictwa były równie skazane na niepowodzenie, co odważna walka bojowników o prawa człowieka i obywatela, „dysydentów”, o zmianę stosunków panujących w samym ZSRR.

A mimo to mieszkańcy jednego kraju sprzeciwili się jeszcze raz, tym razem liczniej: pod koniec lat siedemdziesiątych w Polsce. Rządzącym elitom, które i tutaj utrzymywały, iż są „partią robotniczą”, przeciwstawili odważnie własną organizację robotniczą, która w krótkim czasie stała się największym związkiem zawodowym na świecie, a w nazwie miała wielką wspólnotę ludzi: „Solidarność”. Zryw jedenastu milionów członków, mający na celu przeforsowanie interesów robotników oraz zmiany warunków socjalno-ekonomicznych w kraju, skończył się, niewątpliwie pod naciskiem Rosjan, wprowadzeniem stanu wojennego przez polski rząd.

W połowie lat osiemdziesiątych nagle zaczęło zanosić się na zmiany, i to akurat w samej Moskwie. Nowy, sprawiający młodzieńcze wrażenie przywódca partii, kroczył nowymi drogami. Wybór Michaiła Gorbaczowa na sekretarza generalnego partii pokazał, że członkowie biura politycznego doszli najwyraźniej do wniosku, że jeśli nie przeprowadzi się głębokich zmian gospodarczych i społecznych, to system może się zawalić z powodu wewnętrznych sprzeczności i niedociągnięć. Moskwa wyciągnęła konsekwencje również z nadmiernej światowej rozciąłości radzieckiego imperium. O ile dotąd starano się wyeksportować radziecką ideologię

w najdalszy zakątek Angoli, Kambodży i Nikaragui oraz wspierać słabnące „bratnie narody”, tak teraz zasygnalizowano partnerom: bierzcie los w swoje ręce, Moskwa nie będzie dłużej trzymała parasola ochronnego nad wszystkim.

Jako młody dyplomata przyglądałem się z bliska rozwojowi tej sytuacji. W latach 1986–1989 piastowałem pierwszą posadę w Polsce. Rosyjskiego nauczyłem się wcześniej i wyraziłem życzenie, aby mnie wysłano do kraju w socjalistycznej strefie wpływów. „Polska polityka wewnętrzna”, tak brzmiał zakres moich obowiązków w zachodnioniemieckiej ambasadzie w Warszawie, gdzie latem 1988 roku zaczęły się zmiany. Nikt tak naprawdę nie umiał sobie wyobrazić, jak w tym drugim podejściu potoczy się to, co kilka lat wcześniej już raz się nie udało. Decydująca różnica polegała jednak na tym, że zasadniczej zmianie uległo stanowisko Moskwy. Gospodarka kraju znajdowała się w ruinie, polskie przywództwo socjalistyczne było zdane na siebie, a Kościół katolicki był o wiele silniejszy niż partia rządząca. Rosnący ruch opozycyjny skanalizował niezadowolenie milionów. I w osobie gdańskiego elektryka Lecha Wałęsy miał charyzmatycznego przywódcę.

Podczas obrad Okrągłego Stołu w sposób dotąd niepraktykowany wynegocjowano na nowo podział władzy. Po raz pierwszy opozycja zyskała możliwość, aby – nie tylko czysto teoretycznie – zastanowić się nad tym, gdzie w przyszłości powinno być miejsce Polski. Doradzający Wałęsie intelektualiści szybko byli zgodni. Polska, brzmiała ich wizja, ma być wolnym, demokratycznym państwem z systemem gospodarki rynkowej. Chcieli się kierować skutecznymi modelami z Europy Zachodniej i mieli nadzieję, że włączenie do struktur Wspólnoty Europejskiej i członkostwo w NATO zagwarantują Polsce zarówno dobrobyt, jak i bezpieczeństwo narodowe.

W rozmowach, które wówczas prowadziłem z przedstawicielami opozycji, nikt nie wpadł na pomysł optowania za jakąś alternatywą, na przykład neutralnością czy wręcz

kontynuacją powiązania ze Wschodem. W 1939 roku Związek Radziecki porozumiał się z Niemcami w kwestii podziału Polski i nigdy za to nie przeprosił. „Co się stało, to się nie odstanie”, powtarzano mi często, „ale wy, Niemcy, próbujecie przynajmniej radzić sobie z historią i bierzecie na siebie odpowiedzialność”. Inaczej niż Związek Radziecki, którego oficjalna historiografia do końca lat osiemdziesiątych zaprzeczała, iż masakry, w których zgładzono ponad dwadzieścia tysięcy polskich oficerów i przedstawicieli inteligencji i które łączą się z nazwą Katyń, zostały przeprowadzone przez radzieckie służby bezpieczeństwa.

Dlatego dyskusje w polskim podziemiu powracały do kwestii, jak mogłoby się udać przyłączenie Polski do zachodnich struktur. Między Polską a Europejską Wspólnotą Gospodarczą, jak nazywała się Unia Europejska do 1993 roku, znajdowało się NRD. Stąd, o czym polscy opozycjoniści byli przekonani, w interesie Polski leżały nie tylko demokratyczne przemiany w NRD, lecz także zjednoczenie obu niemieckich państw. Gdyby Polska poparła ten proces, zyskałaby nie tylko życzliwość Niemców i ich wsparcie w integracji z zachodnimi sojuszami, ale osiągnęłaby również to, że Niemcy potwierdziliby prawnie przynależność do Polski dawnych wschodnich terenów Niemiec. Nawet w łonie partii rządzącej, PZPR, zaczęto myśleć na nowo i w podobnym kierunku o kwestii niemieckiej – w imię przyszłości, którą Polska w znacznym stopniu będzie kształtowała sama. Jakże odlegli od takich procesów myślowych byli Niemcy! Jeszcze w czerwcu 1989 roku jeden z najbardziej szanowanych dziennikarzy w RFN, redaktor naczelny tygodnika „Die Zeit”, Theo Sommer, pisał w jednym z artykułów: „Ten, kto dziś wyciąga z szafy szkielet niemieckiej jedności, pozostałym może jedynie napędzić strachu”. Lata później przyznał skruszony: „Nie należy obrażać przyszłości brakiem wyobraźni”.

Nie zmienia to faktu, że w tamtych czasach pragnieniem znakomitej większości ludzi w krajach Europy

Środkowo-Wschodniej było przekształcenie sytuacji politycznej i gospodarczej w ich krajach według zachodnich wzorców i idei. Niepotrzebny był nacisk i „marchewka”, aby swoją przyszłość widzieli w demokracji, gospodarce rynkowej, pluralizmie poglądów, swobodzie podróżowania i dobrobycie. Przymusu przyłączenia się do zachodniego sojuszu nie było i nie ma, Szwecja, Finlandia i Austria do dziś nie należą do NATO, a Norwegia i Szwajcaria do UE. Nikt nie musi – ale wielu chce być w strukturach, co na przykład niezmiennie obserwuje się na Bałkanach.

Często przypominałem sobie rzeczywistość tamtych lat przełomu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej podczas dyskusji w Rosji, kiedy twierdzono, że Polska czy Rumunia, Litwa czy Słowacja zostały niejako „zawleczone na Zachód”. Chętnie daję się wiarę temu twierdzeniu, przecież wpisuje się w ulubioną koncepcję spisku przeciwko Rosji. Dziwiło mnie niekiedy, jak lekkomyślnie niektórzy na Zachodzie podchwytywali tę narrację, która ignoruje potrzebę wolności i odwagę ludzi w Rydze, Lipsku, Gdańsku i Budapeszcie, ba, obraża ich i neguje ich wolną, samorządną decyzję. Strajkujący robotnicy polskich stoczni, uczestnicy poniedziałkowych demonstracji w Lipsku i setki tysięcy uczestników śpiewającej rewolucji w krajach bałtyckich nie potrzebowali ani zachęty, ani żadnych pokus, działali ze szczerego oburzenia, rzeczywistego zwątpienia i głębokiego przekonania, że postępują zgodnie z własnym osądem i pragnieniem wolności.

## **„Największa katastrofa geopolityczna XX wieku”**

Mieszkańcy ZSRR, a potem Rosji, całkiem inaczej niż my przeżyli to, co od końca lat osiemdziesiątych działo się w dotychczas socjalistycznej strefie wpływów. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych państwa satelickie Związku Radzieckiego jedno po drugim obierały własną drogę. Ale nie tylko

one, odrywały się też obrzeża imperium, uwalniając się spod władzy Moskwy, aż wreszcie nawet „krew z krwi”, Białoruś i Ukraina. Rosja pozostała sama ze sobą.

Co ten proces oznaczał dla rosyjskiej samoświadomości, uwidoczniło się w wypowiedzi Władimira Putina, który rozpad ZSRR nazwał „największą katastrofą geopolityczną XX wieku”. Pokazuje też ona, co dla Putina – i wielu innych – jest w Rosji najważniejsze: bycie mocarstwem. Rozpad Związku Radzieckiego był potężną utratą znaczenia, utratą realnej władzy, głęboką traumą. Właściwie nigdy w ciągu trzydziestopięcioletniej pracy w dyplomacji nie zdarzyło mi się, aby przedstawiciele goszczącego mnie państwa tak usilnie podkreślali, iż wszystkie procesy i biegi wydarzeń po winieniem postrzegać w aspektach psychologicznych. „Rosja ma ból fantomowy”, powiedział kiedyś Henry Kissinger. Tak, chyba tak właśnie jest, przyznał kiedyś mój bliski kręgom władzy rosyjski rozmówca. „Przynajmniej mamy fantomowe odczucia”.

Aby zrozumieć rosyjski punkt widzenia – nie tylko ten prezydenta – trzeba sobie wyobrazić, że wraz z rozpadem Związku Radzieckiego przyszedł kres nie tylko władzy komunistycznej, lecz rozpadło się również dawne imperium rosyjskie. Związek Radziecki mógł być krajem o nowym porządku ideologicznym, ale pod względem geograficznym oraz polityki władzy był identyczny z imperium rosyjskim. Na skutek krachu nie tylko skurczyło się terytorium mocarstwa: ważne centra gospodarcze i przemysłowe znalazły się niemal z dnia na dzień poza granicami, w nowych państwach, podobnie jak siły zbrojne i ich bazy. Ucierpiały też, co nie mniej ważne, więzi rodzinne i osobiste wspomnienia.

Nad koncepcją, że Związek Radziecki i imperium rosyjskie są w pewnym sensie identyczne, Władimir Putin pracuje nieprzerwanie i celowo. W przemówieniu do narodu w marcu 2018 roku wymienił w konkretnych liczbach straty, jakie przyniósł koniec Związku Radzieckiego, i postawił je na równi ze stratami Rosji: „Po rozpadzie ZSRR